

# DOM POLSKI

PISMO BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II.

— Poznań, 10 września 1889 r. —

Nr. 26.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem egzemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mkr. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Pojedynczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f. Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

## O WYCHOWANIU.

(Ciąg dalszy.)

Mama, lub piastunka uczą także dziecię kłaniać się rączką i wołać: *dja!* Prześlicznie wtedy mały wygląda aniołek — i oby mu ta grzeczność pozostała na zawsze! Niechaj dziecko nie zaniedba powiedzieć *dzień dobry* rodzicom, krewnym i starszym osobom — jako też i rodzeństwu swojemu; niechaj się ukloni, wstając od stołu; niech powie *dobra noc*; powita przybyłych, pożegna odjeżdżających i ukloni się znajomym na ulicy. Są to przyjęte w świecie *cywilizowanym* zwyczaje — i dziecię, które do nich nawyknęło, nie zaniedba tego i później.

Grzeczne objęcie i uprzejmość zaleca każdego: „*Na grzeczności nikt nie traci*“ — niesie dawne przysłowie. Grzeczność, uprzejmość nietylko bywa znamieniem *wychowania dobrego*, ale także *rozumu i serca*. Człowiek rzeczywiście *rozumny* nie uchybi pewno nikomu; człowiek *pocziwego serca* nie zechce dotknąć nikogo. Bądź grzecznym dla każdego, a jeżeli ci kto równą nie odplaci grzecznością, pocieszaj się myślą: żeś był *grzeczniejszym* od niego.

Pewnego razu w towarzystwie prosiła jedna z pań poważniejszych młodą panienkę, by zaśpiewała. Wiedzianno, że kształciła się w pierwszorzędnym zakładzie, że posiadała muzykę w wysokim stopniu, że mówiła po francuzku, po włosku, niemiecku i angielsku. Niestety! tylko, że panna zbytcej nabrała zarozumiałości w skutek sypanych jej wszędzie zbytcejących pochwał — więc też na wezwanie owej pani poważnej, krzywiąc się, odmruknęła:

— *Ah! mon Dieu, que dois-je donc chanter?* Nie umiem nic na pamięć. *Et au reste, je ne chante pas bien.*

— *Et pourtant vous en avez la réputation* — odpowiada jej owa pani.

— *Quelle réputation, mon Dieu, quelle réputation?* — i odwracając się ku swojej sąsiadce, panna rozśmiała się ironicznie.

— *Oh! mademoiselle, l'amabilité est aussi une réputation* wyrzekła głośno poważna pani. Całe towarzystwo tę rozmową posłyszało — i *reputacyja* „niegrzecznej“ pozostała pannie na czas długi — podobno na bardzo długi.

Nader szkodliwą jest rzeczą wlać w dziecko przekonanie: że znakomite posiada zdolności. Niekiedy nawet powiększa ten dar natury ślepa miłość rodzicielska, którą

wreszcie można rodzicom wybaczyć, byle jej nie spostrzegło dziecko, i byleby nie wpajali zarozumiałości w młodziutki umysł — bo zarozumiałość wszelki zabić może talent. Dziecię nabierze śmiesznej a nieznośnej pychy w obec rówieśników swoich, zaufa sobie zbyt wiele, spuści się na zdolność, geniusz — i zaniedba się całkiem. Słyszeliśmy w życiu już nieraz o niejednym *dziecku cudownem*, któremu wielką rokowano przyszłość: imię jego stało się głośnem — a potem utonęło we mgłę zapomnienia, i nikt nie usłyszał, co stało się z owym przyszłym Chopinem Matejką, albo Słowackim. Być może, że tę zdolność niewłaściwy rozgłos i woń dusząca kadzidel stłumiła; że ją zabiła nietylko zarozumiałość dziecka, ale i rodziców, którzy zanadto wymagali po niem, i zanadto umysł nierozwinięty natęgać kazali — co wszystko przeszkodziło rozwojowi talentu.

Bardzo często obecne osoby przez pochlebstwo dla rodziców poklaskują wszystkiemu, cokolwiek dziecko mówi i czyni — chociaż za oczami wyśmiewają i rzecz zupełnie w innym wystawiają świetle. Jest to wiece niesumienne postępowanie, bo przez takie pochwały i pochlebstwa kładą niekiedy węgielny kamień do zarozumiałości dziecka i niejedno złe wywołują. A jeżeli ktoś szerszy i prawdomówniejszy nie sypnie podobną *ambrą*, rodzice uważają w nim zazdrośnika i niezyczliwego — gdy właśnie ich rzetelnym jest przyjaciелеm, a dziecku dobrze życzącym.

Niepodobna mi przy tej sposobności pominąć wspomnienia następującego wypadku. Obchodzono imieniny pani X., i wiele zjechało się osób. Córeczka solenizantki, dwunastoletnia dziewczynka, zdolna i pilna, a przytem skromna, ofiarowała matce piękną robotę i ładnie wykonany rysunek; nado zagrała jej dość trudną sztukę na fortepianie, której się na uczczenie imienin matki nauczyła. Goście znali zalety dziewczątka to też w czasie obiadu, po licznych *toastach*, wniesiono i zdrowie tej prawdziwej pociechy domu. Panienka wzruszona do żywego tą niespodzianką, rumiana, jak jagódka, skłoniła się pomieszana — a potem się rozplakała.

— Co tobie? — Coż się stało — pytano wokoło ze współczuciem. — Czemu płaczesz? zapytała matka, biorąc ją w objęcie. — O! moja mamo — szepnęła dziewczyn-

ka — jam nie zasłużyła na taki zaszczyt. Sympatya wszystkich obecnych zwiększyła się jeszcze dla niej — a zwiększył się i szczerzy dla matki szacunek, która ją tak dobrze wychowała. Bo czyliż każdy nie pomyślał w tej chwili: że ta skromna dziewczynka, która tyle delikatnego okazała uczucia, wyrośnie na zającą i prawą kobietę? . . .

Powinna także i nauczycielka być szczególniej baczną, by jedna uczennica nie robiła zadań drugiej. Pozna to sama aż nadto dobrze, że podobna usłużność koleżanki przeszkadza panience w rozwinięciu sił własnych: że zarazem nauczy ją kłamstwa i przystrajania się cudzemi piórkami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiązanie \* \* \*

## TWOJE WIOSNY.

Siedmnaście już razy zakwitwały róże,  
Wonią swoją i blaskiem rączki twe nęciły,  
Smętnie chyliły główki, gdy szalały burze,  
A gdy słońce zabłysło, na nowo odżyły.

I ty, kiedy grom srogi w serce twe uderzy,  
Uchyl główkę w pokorze z wiarą i nadzieją,  
Ze Bóg smutki i troski przemieni, uśmierzy,  
I znów słońce zaświeci, chmury się rozwieją.

Siedmnaście już wiosen, jak ptactwo swe pienia  
Chórami śle w niebiosy z radością, rozkoszą!  
A ileż tam miłości, ile dziękczynienia  
Za te drobne zdziebełka, co do gniazdek znoszą.

I ty, o! moja miła, jak to ptaszę małe  
Z wdzięcznością tam — ku niebu — zwracaj serce swoje,  
Kochaj Boga gorąco przez swe życie całe  
Za łask jasne promienie, za dobrodziejstw źródło.

Siedmnaście już wiosen pracowita pszczołka  
Z łąk, kwieciami ubarwionych, zbiera mnogie żniwa,  
Jadu nie zakosztuje z trującego ziołka,  
Tylko woń cudną, słodycz trudem swym zdobywa.

Tak też i ty, kochanie, wiedzione sumieniem,  
Wszystko, co złe, odtrącaj ze wstrętem od siebie,  
Co szlachetne i wzniosłe, witaj z uniesieniem,  
Pszczołka niechaj ci służy za przykład w potrzebie.

A jeżeli ci mile zabrzmiały moje słowa,  
Natenczas pomyśl sobie, że szczerze, choć skromne;  
I w tych szczerzych życzeniach niechaj się przechowa  
Me całe przywiązanie do ciebie — niezłomne!

Tak, miła ty dziewczeczko, jak róża urocza,  
Jak ptaszyna swobodna, jak pszczoła skwapliwa,  
Miej silną wiarę, ufność i pracuj ohochoza,  
A przejdiesz przez to życie swobodna, szczęśliwa.

An. Zof.

# HISTORIA JAKICH WIELE.

Przez F. F.

Z języka niemieckiego tłumaczyła

ANNA PIŁASKA.

(Ciąg dalszy)

Po odejściu Roberta lekarz zajął poprzednie swe miejsce, jednakże obecnie już nie treść książki pochłaniała jego uwagę. Siedział nieruchomie, zamyślony głęboko nad losem młodego prawnika, z którym wieloletnia łączyła go przyjaźń.

Więc szczęście jego było zachwiane! . . . obawiał się utracić miłość narzeczonej, gdyż wiedział zapewne to, o czem całe miasto mówiło, że narieczona Stefana Roberta zbyt skwapliwie nadskakiwania i grzeczności radcy Holsteina przyjmowała.

Roberts kochał Bertę z całym zapałem i namiętnością pierwszej miłości i szczęście całego swego życia w niej pokładał, a nie był człowiekiem, na którymby utrata najdroższego skarbu głębszego nie wywarła wrażenia.

Holstein znał go dobrze, wiedział, że, starając się o względy Berty, niweczył szczęście, rozwiewa najpiękniejsze marzenia i nadzieje młodzieńca, a jednak nie zaniechał niegodnych swych zamiarów. Był to człowiek bez serca, wyrachowany egoista, który nie zważał nigdy na nic i na nikogo, przed zadnym nie cofał się środkiem, byle tylko zadowolić swe samolubne zachcianki.

Doktor Paulson z prawdziwą niechęcią przystał na życzenie przyjaciela, mimo to o naznaczonej godzinie ubrał się pospiesznie, a korzystając z chwilowego wzruszenia i większej, niż zazwyczaj, dla Holsteina pogardy, postanowił nie dać ujść się jedwabnemi słówkami podłego człowieka i choć raz mu prawdę bezwzględnie rzucić w oczy.

Uspokojony tak nieprzyjaźnie zadzwonił silnie do rzeźbionych artystycznie drzwi mieszkania tajnego radcy. Wprowadzono go do wykwintnie urządzonego gabinetu, gdzie zastał gospodarza, oczekującego nań w dumnej, odstręczającej postawie. Lekkiem, zaledwie widocznem skiniem głowy odpowiedział na niemniej zimny ukłon doktora, wskazał mu stojący obok fotel.

Wyzywająca postawa i szyderski uśmiech na zaciśniętych wargach Holsteina rozdrażnił doktora do najwyższego stopnia; zapanowawszy jednak nad sobą siłą woli, odczwał się po chwili spokojnie i z powagą, nie przyjmując wskazanego sobie miejsca.

— Życzenie przyjaciela mego, Stefana Roberta, sprawdza mnie do pana.

— Pana Roberta? — powtórzył zwolna Holstein, jak gdyby to nazwisko najzupełniej obcem mu było — Proszę, zechciej pan mówić dalej.

Radca domyślił się od razu przyczyny odwiedzin doktora, a wsparty o stół, wpatrywał się swym przenikliwym i złośliwym wzrokiem w twarz nowoprzybyłego.

Paulson opowiedział w krótkości powody pojedynku, powtórzył wyzwanie przyjaciela i warunki, a twarz Holsteina pozostała niezmienną, tylko oczy i usta w miarę opowiadania coraz więcej szyderski przybierały wyraz.

— Pan Roberts zdaje się nie spostrzegać różnicy, jaka zachodzi między mojem a jego stanowiskiem — odczwał się, wysłuchawszy w milczeniu do końca.

— W podobnych wypadkach różnica stanowiska nie a nie nie znaczy — przerwał mu Paulson gwałtownie.

— Ja jestem innego zdania, i jedynie podług swych własnych zapatrywań postępować będę. Wyzwania pańskiego przyjaciela stanowczo nie przyjmuję — nie chcąc w ogóle mieć z nim do czynienia. Zdaje mi się, że mu to nawet dość wyraźnie dałem do zrozumienia.

Krew zawrzała gorącej w żyłach Henryka Paulsona.

— Panie radzco, zawołał, nie ukrywając bynajmniej gniewu i pogardy — nie jest to ani uczciwie, ani szlachetnie, ani nie dowodzi odwagi obrazić kogo, a następnie odmówić zadosyćczynienia człowiekowi, posiadającemu zasady nawskróś honorowe.

Holstein podniósł dumnie głowę, a z pod na wpeł przysłoniętych powiek strzelił promień nienawiści i gniewu.

— Pan śmiesz mi to powiedzieć! — wyjąkał stłumionym od wściekłości głosem — mnie?!

— Dla czego nie? — odparł Paulson, odzyskując dawny spokój. — Na stanowisko i tytuły nigdy najmniejszej na zwracam uwagi — szlachetny charakter cenię nade wszystko. Więc pan wyzwania mego przyjaciela nie przyjmujesz?

— Nie chcę z nim nic mieć do czynienia. Pański przyjaciel i pan także zdajesz się zapominać, że mogłbym każdej chwili zaskarżyć was przed sądem, że mnie zmuszacie do pojedynku, którego prawo tak surowo zabrania — i za co niechybna spotkałaby was kara.

— Panie radzco — odparł Paulson z pogardą — tylko tchórze i nędznicy uciekają się do podobnej groźby, więc dla czegoż pan nie miałbyś tego uczynić. Teraz ja odwołuję wyzwanie mego przyjaciela, gdyż pojedynek z panem uwłaczałby jego honorowi. Pan Roberts w inny sposób za wyrządzoną sobie obrazę pomści się, poszuka na innej drodze zadosyćczynienia — chociażby na drodze — pogardy.

Holstein zdrzął, postąpił kilka kroków naprzód, jak gdyby chciał się rzucić na Paulsona, lecz ten, odwróciwszy się doń plecami, podszedł ku drzwiom wchodowym.

— Pomówimy ze sobą jeszcze i to niedługo — zawołał Holstein niepewnym od gniewu głosem.

— Dla czego nie zaraz, panie radzco, odparł. — Byłoby nawet lepiej, gdybyś pan, póki tu jestem, zechciał mi to powiedzieć — każde późniejsze z panem spotkanie sprawiłoby mi dużo przykrości.

— Proszę stąd wyjść natychmiast, albo każę wyprowadzić pana przez służbę — krzyknął Holstein niezdolny zapanować nad gniewem i wściekłością. Twarz jego stała się pod wpływem tych uczuć trupio bladą, wstrętną i odrażającą prawie.

Paulson, obrzuciwszy radzcę pełnym pogardy wejrzeniem, wyszedł spiesźnie z pokoju.

Znalazłszy się na ulicy, począł trzeźwiej rozbierać całe to zajście. Podobnego zakończenia sprawy nie byłby przypuszczał nigdy, chociaż, idąc w imieniu Roberta wyzwać radzcę na pojedynek, przepowiedział mu z góry, że Holstein wyzwania nie przyjmie.

Odwiedziny u kilku chorych zatrzymały dłużej, niż zwykle, młodego doktora na mieście, nie dopuszczając zarazem głębszego zastanowienia się nad całą tą przykrą historią.

Powróciwszy do domu, zajął się przeglądaniem świeżo nadeszłych dzienników, lecz dawno już to czytanie ukończył, a Roberta jeszcze widać nie było. Paulson nie mógł pojąć tej przedłużonej nieobecności przyjaciela — komuż innemu, jak jemu właśnie, na celu i skutku tych odwiedzin u radzcy zależeć mogło?

Późno już było, gdy Roberts bez poprzedniego zapukania do drzwi wszedł do pokoju — wyglądał znużony i błydy, nawet duże, błyszczące jego oczy bolesny i przyćmiony miały wyraz.

— Przyszedłeś nareszcie — odezwał się Paulson, ujmując jego rękę na powitanie.

— Siedziałem do tego czasu sam jeden w pobliżniej winiarni — sam nawet nie wiem, jak długo. Czyś to nie ty powiedział mi niegdyś, że chociażby wszystko i wszyscy dokoła nas kłamali — wino za zawsze prawdę w sobie zawiera?

— Jestem najmocniej o tem przekonany.

— Mylisz się zatem, Henryku. I wino nas oszukuje, wzbudzając na nowo zagasłe w sercu nadzieje, wywołując czarowne marzenia, od których nowy ból w sercu czujemy. Wszyscy i wszystko kłamie — nie ma prawdy na tym świecie! Ale coż mi powiesz o odwiedzinach u radzcy — wszakże byłeś u niego?

— Czyż ci nie obiecałem?

— Więc przyjął moje wyzwanie? — zagadnął niespokojnie z błyszczącymi gorączkowo oczyma.

— Odmówił stanowczo, jak to, niestety! zaraz przewidywałem.

— Odmówił? — powtórzył Roberts z wolna, jak gdyby z niedowierzaniem. — Czyś się czasem nie przesłyszał, Henryku, lub może źle zrozumiałeś jego słowa. Jakto? odmówił zadosyćczynienia, którego ja miałem prawo żądać od niego?

Paulson powtórzył dosłownie swą rozmowę z Holsteinem. Młody prawnik słuchał w milczeniu ze wzrastającym wzruszeniem, następnie rozśmiał się dzikim, nienaturalnym śmiechem.

— Podły tchórz! — Ha! ha! powinienem był tego się po nim spodziewać, ale jestem zawsze jeszcze za głupi, aby mózdz sobie wyobrazić człowieka bez odrobiny ambicji i honorowego uczucia w duszy. Więc groził, że nas zaskarży? — przyjacielu, każde słowo tej groźby nie da się ocenić na wagę złota. Jeżeli się z nim spotkam, mam prawo powiedzieć mu w oczy, że jest nikczemnym i tak też uczynię! Nie chce mieć nic do czynienia z podobnie podrzędną, jak ja, osobistością; dobrze — pomimo to śledzić będę wytrwale jego kroki i wtenczas, kiedy się najmniej spodziewać będzie, szepnę mu do ucha, ale tak głośno, że wszyscy dokoła usłyszą, jak nim pogardzam, za jak podłą mam go istotę.

— Jest nikczemnym człowiekiem w rzeczy samej — ale dla tego właśnie nie okazuj mu nic więcej nad pogardę. Nie staraj mu się szkodzić zanadto — pomyśl o różnicy stanowiska, jaka między wami zachodzi. Holstein posiada dość wpływu, aby cię zgubić i nie zawaha się z pewnością nad wyborem środków, byle tylko dojść do celu.

— Uczyni to w każdym razie — od dziś dnia zacznę przemyśliwać nad tem szlachetnym zadaniem, a ponieważ wie, że najłatwiejszą drogą, prowadzącą do mego upadku, jest złamanie szczęścia mego życia, więc ku temu dążyć będzie. Henryku, ogół ludzi utrzymuje, że zemsta jest nieszlachetną — ja zaś mówię, że jest darem bogów. Pomyśl sam tylko — kiedy wszystkie nadzieje, marzenia biednego śmiertelnika zostaną nielitościwie rozwiane, kiedy życie w skutek tego nieznośnym ciężarem dlań być zaczyna — wtenczas myśl o zemście nowej dodaje mu siły. Utracona odwaga powraca, życie już się nie przykrzy, gdyż ma jakiś cel przed sobą — jednym słowem, jak gdyby odżył na nowo. Ale dość tej rozmowy — chodź lepiej ze mną do owej winiarni, gdzie dzisiaj dzień spędziłem — odkryłem tam pewien chłodny, zaciszny kącik, który obaj zajmijmy.

Paulson odmówił stanowczo.

— A więc pozostań w domu — zawołał Roberts gwałtownie. — Henryku, dodał spokojniej nieco, jak gdyby ze smutkiem — sądziłem, że do końca życia wesołego kolegę tak, jak za czasów uniwersyteckich, w tobie mieć będę, ale i to mię zawiodło. Zostań, jeżeli chcesz, idź spać, lub zajmij się czytaniem — i bez ciebie wieczor przepędzić się postaram.

— Dla czego nie chcesz pozostać u mnie? odparł Paulson, którego wzruszenie Roberta mocno niepokoiło. Wiem dobrze, że to nie odmowa Holsteina tak cię usposabia — odgadłem, czego się obawiasz, a wyraz twych oczu potwierdza me domysły.

Roberts popatrzył nań w milczeniu. Zdawał się walczyć sam z sobą, czy ma być szczerym i wyznać przyjacielowi otwarcie, co go tam na dnie serca bolało i czem cały dzień dzisiaj zaprzętał sobie głowę.

— Ach! szepnął nareszcie, usiłując się uśmiechnąć, więc w moich oczach można czytać, jak w otwartej książce, co się w sercu i duszy mej dzieje? Ale mylisz się, jak się pewno nieraz myliłeś. Nikczemność i odmowa Holsteina gniewa mnie, zresztą nie więcej. Wystawiałem sobie, jak zdradzi na pierwszą wzmiankę o pojedynku, a cożby to dopiero było, gdybyśmy o trzy kroki do siebie z pistoletów byli strzelali? Szkoda, że do tego nie przyjdzie — zaznałby przynajmniej raz w życiu prawdziwej trwogi. Oto, co mogłeś w moich oczach wyczytać — chociaż bujna twoja wyobraźnia zaraz coś romantyczniejszego sobie stworzyć chciała. A teraz dobra noc ci, Henryku, zbyt długo twój cierpliwości dziś nadużyłam.

Paulson usiłował zatrzymać go jeszcze, a widząc, że Roberts trwa stale w zamiarze pojęcia do winiarni, postanowił mu towarzyszyć, ażeby biedaka z tem wzruszeniem i boleścią nie zostawić samego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Ibrang - Hoihsthohl.

(Z kartek szukającego ideałów.)

(Ciąg dalszy.)

Położenie rzeczy było dość trudne — ale bogowie opiekują się nieszczęśliwcami, ubranymi na mróz w pajęczynę, a nieposiadającymi kluczy od kamienicy.

Wujaszkwowi błysnęła myśl szczęśliwa.

Oto wprawdzie anioł-stróż nocny nie posiadał również klucza do bramy kamienicy pod numerem 19 ulicy W., ale za to dała się tu przeprowadzić inna kombinacja.

Kamienica ta łączyła się bowiem podwórzem z domem, położonym pod numerem 2 na ulicy S. Między dziedzińcami obu domów znajdowała się brama drewniana, nigdy prawie niezamykana ku rozpacy właścicieli, a ku rozkoszy leniwej publiczności, pragnącej skrócić sobie drogę z ulicy W. na ulicę S., lub odwrotnie.

Anioł-stróż, opiekujący się nocnem bezpieczeństwem mieszkańców ulicy S., cieszył się posiadaniem klucza od numeru drugiego. Wujaszek przez wiecznie otwartą bramę podwórzową mógł więc szczęśliwie dotrzeć aż do sieni swego mieszkania — a intendent domowy, gminnie „hausknecht“ zwany, mógł za pomocą kluczowego duplikatu otworzyć i samo mieszkanie, w którym pełnił funkcję posługacza. Wszystko dałoby się więc w razie pomysłnym załatwić jak najpiękniej.

Ułożywszy plan przejścia przez wąwozy kandyńskie, wujaszek pospieszył ku ulicy S. i począł tu gwizdać na jak najwyższą nutę. Gwizdał on na mróz i na anioła-stróża, który zjawił się w małe pół godziny, przybrany w baranie futro, a zbrojny w potężną halabardę.

Minęły już bezpowrotnie one czasy, kiedy aniołowie chodzili w bieli i srebrzyste skrzydła nosili na ramionach!...

Stróż-anioł, niosący pomoc i ratunek zmarzłemu już na poły wujaszkwowi, zdawał się być w stanie dość dokładnego upojenia. Pocoż wchodzić w to, czy owo upojenie nadziemskiej, lub ziemskiej było natury? W każdym razie pachniało mocno alkoholem — ale i alkohol jest darem niebios. Tak powtarzał z głębokim przekonaniem znany na cały Poznań niebożczyk froter Szynański. Sit ei terra levis!

Trudnem zrazu było porozumienie między nazbyt przemarzłym, gołym nieledwie wujaszkiem, a silnie rozgrza-

nym, zaszytym we futro aniołem-stróżem. Ten ostatni na widok niezwykłego jak na te czasy i okolice kostiumu wujaszka osłupiał na razie do reszty i zaledwie zdołał wybełkotać niezrozumiale jakieś wyrazy, których ogólne muzyczne brzmienie stanowiło dziwną wielce mieszaninę anielskości z czemś zupełnie nieanielskiem. Wśród nieharmonijnych brzmień gardłowych słychać tam było coś o „świętym Jacku patronie“, o „stu dyablach i Maćkach“, o „wszystkich Świętych“ i o „jaśnistych piorunach.“

Snać, że stróż-anioł brał wuja Edwarda za bardzo niedobrego jakiegoś ducha, a nie dowierając własnej nadziemskiej sile, uciekał się do wyższych instancji niebiańskich.

I byłoby się może źle skończyło z całą ową maskaradową wyprawą — byłby wujaszek może marnie zginął od halabardy, jako on smok piekielny od włóczni świętego Jerzego. Szczęściem miał wuj Edward przy sobie talizman niechybny przeciw wszelkim złym na tym globie wypadkom. Sięgnąwszy do prawej kieszonki atlasowej, złotem obszytej kamizelki, wyciągnął z niej dwa, czy trzy srebrne numizmaty z 1880 roku. Skutek wymownej tej mimiki był doraźnym i absolutnym.

Anioł-stróż wytrzeszczył oczęta i otrzeźwiał od razu. Miasto wzywać „jaśniste pioruny“, powtórzył po kilka razy machinalnie: „Jaśnie Panie... Jaśnie Panie.“ Od wszelkich tych jasności rozjaśniło mu się wreszcie do tego stopnia we własnej głowie, że nie już więcej nie myśląc, ni mówiąc, dobył pęka kluczy i roztworzył jak szeroko bramę numeru drugiego.

Pierwszy szkopuł był więc jak najpomysłniej ominięty.

\* \* \*

Teraz chodziło jeszcze o kwestyą bramy podwórzowej i zbudzenie intendenta, alias „hausknechta.“

Co do pierwszego punktu wujaszek doznał przykrego zawodu. Wiecznie rozwarta brama przechodnia jak na złość tym razem wyjątkowo była zamknięta. Ale na wszystkie znajdujące się środki i sposoby. Po prawej stronie podwórza, na którym znalazł się wujaszek, stoi długa, piętrowa szopa, mieszcząca w sobie remizy i stajnie. Szopa ta przechodzi na wylot przez mur, dzielący dziedzińce wyżej wspomnianych kamienic i przerzyna następnie całą prawie długość podwórza domu pod numerem 19 ulicy W. Górą, na wysokości piętra, biegnie wpodłuż onej szopy balkon drewniany, mający wschody przy początku i końcu — a więc na oba dziedzińce. Kto wejdzie na jedno podwórcze, może przejść balkonem tym na drugie — trzeba tylko trochę gimnastyki na samym środku balkonu, gdzie znajduje się dość wysoka drewniana przegroda. W innych okolicznościach konieczność gimnastyki może być i zbawienną; tutaj jednakże nie przedstawiała ona tak dalece rozkoszy, ani korzyści. Wszystko pokryte było cienką powłoką lodu wraz z grubą warstwą śniegu. Deski, tworzące przegrodę, śliskie i mroźne były dyabelnie. Trzeba było jednak koniecznie przebyć zapórę. Edward, jak może, wspina się na deski, wsadzając ręce i nogi tam, gdzie świecą szpary. Nareszcie znalazł się szczęśliwie na krawędzi — teraz tylko jeszcze „przewinąć“ wypada na drugą stronę. Łatwo to mówić o „przewinięciu“, ale czasem dość trudno je wykonać. Trudność znajdzie się zwłaszcza tam, gdzie najniepotrzebniej kto usiądzie, n. p. na gwoździu, wystającym na trzy cale, odpowiednio grubym, ostrym, a na dobitkę jeszcze w haczyk zakrzywionym. W takim niesmacznym położeniu znalazł się wujaszek, skoro „przewinąwszy“ prawą nogą na drugą stronę krawędzi, usiadł na niej z konieczności, jak na koniu. Uczuł się nagle przytrzymanym, przykutym, przygwożdżonym!...

Najwidoczniej jednak miało się tu szczęście łączyć bezustannie z fatalnością. Oni niegodziwy haczyk miał bowiem choć tyle przyzwyczajenia, że, przedarłszy wszelkie atłasy i nieatłasy, uszanował przynajmniej samą skórę wuja Edwarda, nie prując jej więcej, jak na głębokość dwóch milimetrów zaledwie.

Co do kostiumu, to uległ on sromotnemu zniszczeniu, bo kiedy wujaszek rozpaczliwym wsiłkiem i lewą nogę „przewinał“ na drugą stronę, usłyszał przeraźliwy zgrzyt i chrzęst rozpruwanych atlasów i nieatłasów, a następnie poczuł tu i owdzie świeżość powietrza mroźniejszą nad wszelki wyraz.

Wujaszek w pierwszej chwili pomyślał znowu — co to tam powie na zagładę kostiumu przyjaciel Łucyan — ale następnie, jako prawdziwy filozof, rzekł sobie w duchu: „Pal tam licho haczyk, kostium, przyjaciela, kulę ziemską i wszechświat z przyległościami!“

Ostatnim punktem wyprawy ku dotarciu do mieszkania musiało być zbudzenie cnego hausknechta i otrzymanie odeń koniecznego kluczyka od t. z. „entrée“. Tutaj losy stanowczo zbestwiły się nieludzko nad wujaszkiem. Zbudzony ze snu zdrowego cny Walenty wyrzucał z ust wyrazy jakieś stylistycznie niepowiązane — ale wyrażające dostatecznie to, że klucza nie ma, bo „ostał się u Wielmożnych państwa w drugiej kamienicy“ t. j. u rodziców Edwarda. Co to robić? Czy nocować w sklepie z cnym Walentym, połowicą jego i liczną, jak morski piasek, progeniturą? Perspektywa niezbyt tentująca, zwłaszcza wobec atmosfery panującej w izbie. Czy budzić mieszkańców drugiej kamienicy? Rzecz niepodobna — bo jak tu wytłumaczyć tak niezwykły odwrót z maskarady? Wujaszek byłby miał największą ochotę pożyczyć sobie od Walentego na godzin kilka jakiego kawałka sznura od wieszania bielizny — aby powiesić na nim coprędzej przemokłą i zlodowaciałą swą bieliznę — wieszając ją za szyję właściciela tejże bielizny. Myśl to jednak arcy-niechrześcijańska, a przytem jakżeż tu kończyć exystencją w tak sromotnie rozprutych atlasach?

I znów znalazła się droga jakiegokolwiek wyjścia. Edward poprosił Walentową o użyczenie olbrzymiej, kraciatej chusty, co wisiała w izdebce na kołku — i wyszedł, oświadczając, „że sobie jakoś poradzi.“

Szczęśliwym sposobem kontentowali się odurzeni zdrowem rozespianiem małżonkowie owem oświadczeniem — nie zapalili światła i nie skonstatowali nad wyraz dziwnego wyglądu wujaszka. On zaś owinął się nasamprzód od stóp do głowy jak najszczelniej w togę zdobytą, a następnie w statecznym tem okryciu wyciągnął się na stopniu, prowadzącym do kawalerskiej jego stancyjki.

Mimo zimna, panującego w sieni, Edwardowi pod bogatą draperią wełnianej szaty zwolna coraz to cieplej robić się poczęło. Zmorzony wrażeniami i trudami ziewnął w końcu i zasnął.

A sen to był wstrętny, przerażający, ohydny, jak letargowa wizja pod wiekiem trumny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



## KORRESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.“

### Zpoza kordonu.

Otoż schyłek lata. — Ciągłe deszcze przyspieszają pochód jesieni, przedwcześnie dojrzałe owoce same spadają z drzew, lub psują się na gałęziach. Na polach coraz puściej, a puściej jeszcze w kieszeniach ziemian. Mimo nieurodzaju prawie powszechnego ceny na zboże nie podnoszą się, a chwilowe ożywienie handlu znowu przycichło. — Co to będzie? Wilgotny sierpień poprawił przynajmniej trawy pastewne i okopowizny, ale kartofle za to grożą gniciem.

O ulgach, udzielanych ziemianom przez „Towarzystwo kredytowe ziemskie,“ dotąd niewiele słychać; obecnie tylko przymusowe sprzedaże, przypadające na miesiące: wrzesień i październik, odłożone zostały na później bezterminowo. O umocnieniu rat procentowych nie ma co myśleć — a rozłożenie na drobne długoletnie spłaty otrzymać podobno będą mogli ci tylko, którzy wykazają, że dochody tegoroczne nie wyniosą połowy zwyczajnego dochodu. Dla niektórych tonących może taka ulga przyczynić się do przedłużenia agonii, lecz nikogo skutecznie nie ocali.

W całej Rosyi panuje wielki nieurodzaj, tam to właściciele ziemscy, pozalegawszy znaczne sumy w podatkach, zrobili podanie do ministerjum finansów o umorzenie tychże zaległości. — Być może, że głosy ich zostaną wysłuchane, bo car sprzyja szlachcie i ziemiaństwu w ogóle; pojmuje on, że w krajach przeważnie rolniczych jest ono podwaliną państwa, a zniszczenie rolników spowodza ogólne bankructwo.

Niestety! — pojęcie to przyszło zbyt późno, a ziemiaństwo rosyjskie znajduje się w rozpaczliwszem jeszcze położeniu, niż nasze. Średnia własność całkiem prawie zniknęła, sprzedawana na licytacyach za bezcen, przeszła albo w ręce magnatów, ministrów, żyjących z wielkich pensyi, a niedbających o dochody z ziemi, albo też zakupioną została na rzecz skarbu i dóbr koronnych. A nie w samej Rosyi tak się dzieje, ale objaw ten powtarza się w całej Europie. Wszędzie ziemia skupia się w ręku kapitalistów, których nizkość renty gruntowej jeszcze nie rujnuje, a średnia własność najwięcej produkcyjna zanika zupełnie. W całej Szkocyi jest już tylko czterestu właścicieli ziemskich; Irlandya i Anglia idą szybko tym samym śladem. Że taki porządek rzeczy nie wychodzi na korzyść ogólnej produkcji, dowiedzionem to już zostało, a w naszym położeniu sprawa ta jest bardzo smutna i pełna doniosłości w skutkach, bo z zaturą średniej własności zmniejsza się liczba inteligentnych obywateli kraju, przyczyniających się do rozwoju społeczeństwa.

Najgorzej po tym względem stanęła Wielkopolska, a co gorsza, znajduje się ona na pochyłości, po której, nie wiadomo, gdzie się zatrzymać zdoła.

Jakiś korespondent z Warszawy do rosyjskiej gazety, „Grażdanina“, odmalował zabor pruski najczarniejszemi barwami, napisał, że Polacy z księstwa poznańskiego widocznie są kontenci z tego, co się u nich dzieje, bo nie czynią żadnego odporu przeciw germanizacyi, a jeśli nie wyjawiają głośno przekonań swoich, czynią to jedynie, wstydzając się swoich współrodaków zakordonowych. Sprzedaże ziemi komisji kolonizacyjnej, uspienie umysłowe, mała liczba wydawanych tam czasopism i książek — wszystko potwierdza przypuszczenie, że Poznańczycy pragną sami zlać się z państwem germańskim. „Grażdanin“ jest dziennikiem, wysoko cenionym w Rosyi, bo powiadają, że jest echem przekonań osobistych samego cara Aleksandra III.

Pewien korespondent z Berlina donosił innej gazecie rosyjskiej, że Polacy z pod zaboru pruskiego zamierzają wystosować do cara rosyjskiego memoriał, w którym przedstawiają wszystkie krzywdy, doznawane od własnego rządu.

Zdaje się z tego, że prasa rosyjska chciałaby wywołać jakiś ruch, dążący ku Moskwie w poznańskim, że byłby on jej bardzo na rękę. Łatwo zrozumieć, dla czego carstwo rosyjskie czuje się tak osamotnione w Europie, że, jak Aleksander III wypowiedział głośno, na szczerłość jednego tylko przyjaciela liczyć może, a tym jest ks. Mikołaj czarnogórski. Rząd francuzki nie daje żadnej rękoi, bo pan Carnot jutro może być wywiezionym za rogatki Paryża; w takim odosobnieniu przydałyby się sympatyje słowiańskich narodów. . . . „Mądrej głowie dość na słowie.“ reszta każdy czytelnik sam sobie w duszy dośpiewać może. Serbia, Młodoczesi dają dobry przykład, a zachowując wierność Austrii, dają wskazówki, w którą stronę w d a n y m r a z i e skierować się myśla.

Ale dość polityki; z dziedziny spraw społecznych nie ma na razie nic do zanotowania, przejdziemy chyba na niwę literacką.

Tutaj najbujniej się krzewi powieść historyczna. Oprócz „Potopu“ i „Olbrachtowych rycerzy,“ rzeczy doskonałych, pojawiły się dwie prace, bardzo zbliżone do doskonałości: „Branki w jasyrze“ Deotymy i „Veto“ Adama Krechowickiego.

Pierwsza połowa „Branki w jasyrze“ jest zaprawdę imponującą pod względem erudycji i artystycznego obrazowania. Ież postaci z zamierzchłej przeszłości autorka wskrzesiła do życia! Ież wypadków historycznych tak silnie wraziła w pamięć, że nikt ich do śmierci nie zapomni! Ktoż sobie nie uplastycznił, czytając tę powieść, państwa Mongolskiego, jego bohaterów dzikich, srogich, samolubnych, jakby tam był i żył z nimi? Kto zapomni obraz jeziora Zabajkalskiego, otoczonego dziką, fantastyczną przyrodą, i jeszcze dzikszymi, jeszcze fantastyczniejszymi legendami religijnymi ludów turańskich!

Niestety! — druga połowa powieści nie odpowiada wcale wartością pierwszej. Rozwlekłość opowiadania zaczyna tutaj nużyć, śmiałość obrazowania ustępuje miejscą gadaninie czezej, wspomnieniom chwil minionych, rozwałkowanym do nieskończoności. Autorka nie chciała nie już zostawić domysłowi czytelników, nie pominęła żadnej postaci, wchodzącej choćby epizodycznie do powieści bez opowiedzenia rozwlekle jej dalszych losów do końca życia, a nawet opisem snów bohaterów chciała dać pojęcie czytelnikom o bycie pozagrobowym swych faworytów. Coza szkoda, że tak piękne dzieło zostało popsute ową niefortunną gadatliwością!

Gdyby autorka miała odwagę porobić amputacje, skrócić rzecz całą o połowę, jakżeby wielką i sobie i czytelnikom uczyniła przysługę!

Trudno jednak spodziewać się tego; miłość własna autorska nie pozwoli zdobyć się na taki heroizm.

Bądź co bądź, powieść „Branki w jasyrze“ warta przeczytania, bo wiele z niej rzeczy nauczyć się, wiele rzeczy z historii przypomnieć sobie można i uplastycznić nader żywo podróże po Tartary Jana de Carpino, lub napad Tatarów na Kraków, obronę jego i t. d.

Powieść Adama Krechowickiego p. n: „Veto“ ma także wielkie zalety. Wskrzeszono w niej postać Sicińskiego na bogatym tle wypadków ówczesnych. Położenie kraju jest dobrze przedstawione, potrzeba gwałtowna reform i uchwał sejmowych usprawiedliwi niechęć narodu do tego warchoła. Siciński nie był unikatem w naszej przeszłości; podobnych jemu pyszałków pełno było w Rzeczypospolitej, wyrównywali mu w samolubstwie, ambicji, gwałtowności: Radziejowski, Krzysztof Opaliński, Janusz Radziwiłł, a jednak niczyje imię nie zostało tak dalece zohydzone, jak imię posła upitskiego, a to dla tego, że wiąże się ono z okropnym dla nas w skutkach wyrazem: „veto.“

A. M.

## Zapiski, szkice i typy galicyjskie.

### Szkic I.

(Dokończenie).

Państwo Leonowie siedzą w tym samym jadnym pokoju, gdzie przed kilku dniami tak żywa między nimi toczyła się rozmowa. I dziś tak samo pan Leon czyta gazetę, a żona siedzi cicho przy oknie, trzymając nieruchomie książkę, zponad której jej bezbarwne oczy wciąż wybiegają to na dziedziniec, lub drogę, to przenoszą się na chudą twarz męża, zatopionego w polityce.

Nagle w szarych jej oczach błyska zdziwienie i z niezwykłą żywością podnosi głowę, mówiąc szybko:

— Leonie, przyjechali.

— Kto taki? — mąż zapytuje i idzie do okna. — Ze Zdorowa? Amelia i hrabia Stanisław? Wreszcie! — i prędko wychodzi do przedpokoju, skąd zaraz rozlegają się głosy.

Pani Amelia mówi dużo, szybko, grzecznie, jej bratnosowym, powolnym głosem. Ściskając rękę pana Leona, wymawia mu, że jest tak mało wyrozumiałym na brak czasu kolegi, że dowodzi to, jak małą przywiązuje wagę do wspomnień młodości.

Pan Leon chce nawzajem zrobić uwagę, że to nie on pierwszy stosunki te oziębł, ale słowa jego przerywają, wchodząc do salonu, gdzie pani Franciszka przyjmuje gości z stereotypowym uśmiechem, odpowiadając kilku nieznaczącymi słowy na grzeczne zdania nowo przybyłych.

Salon ten niewielki jest prawdziwie „salonem od gości“ i nosi charakterystyczną cechę gospodyni domu. Meble staroświeckie, obite czerwonym adamaszkim, stoją sztywnie pod ścianami: kanapa, przed nią stół z nicodzoną lampą, naokoło sześć krzeseł, symetrycznie poustawianych. Przy ścianie stoją wysokie fotele; jeden narożnik pokoju zajmuje staroświecki fortepian. Olbrzymie zwierciadła w złoczonych ramach odbijają przerażającą pustkę salonu, gdzie ani jedna książka, ani jeden dziennik nie zdradzają życia. ani jedna roślina zielonemi liśmi nie zasłania słońca, które, jak w zwierciadle, połyskuje w woskowanej posadzce. Słowem symetryczna pustka, odrażający porządek wionie z każdego kąta i doprawdy nie można sobie wyobrazić, aby honory domu mogła tu robić inna kobieta, jak ta sztywna, wyprostowana pani z bładym, bez wyrazu uśmiechem. Kontrast między gościami a gospodynią domu bijący w oczy: pani Amelia — to dama z wielkiego świata, energiczna, ruchliwa, umiejąca objawić swoją wolę i do skutku ją doprowadzić, a każdą potrzebną sobie rolę zdolna odegrać z pzejściem. Teraz prawi *komplimenta* kuzynce, opowiada żywo o jej ciotce, o rozczuleniu, z jakim ta przyjęła wieść o obraniu pana Leona posłem. Zręczna i obrotna, wie ona dobrze, że to jedyna czuła struna w wysuszonym i ochłodzonym przez zawody sercu pani Franciszki, która, wychowana u tej ciotki, kochała ją po swojemu, podlegając despotycznej woli, poddając się mianowicie jej życzeniu, gdy pan Leon, szukając zaszczytnych stosunków i znacznego posagu, oświadczył się o rękę wędniejącej, nieładnej, milczącej paniny Franciszki, która też zawsze najuleglejszą była mu żoną...

— Mowy twoje zwracają uwagę, są znakomite jednem słowem — protekcyjnalnie i powoli mówi hrabia Stanisław — tak, znakomite!

— Excelencya znajduje? — odpowiada, chcąc utaić swe zadowolenie, pan Leon

— Powtarzam ci zdanie wielu wysoko położonych osób.

— A przecież dzienniki nie umieściły żadnego z tych wytrawnych przemówień, nad którymi, śmiem powiedzieć, sumiennie pracowałem! gdy tymczasem mowę bez znaczenia takiego młodego człowieka, jak...

— Prasa nasza jest służalczą — przerywa hrabia Stanisław — pali kadzidla tylko literatom. Ale tak dalej być nie powinno: odtąd każda z twoich mów musi być drukowana. Raczysz się do mnie w Wiedniu zgłosić, najprzyjemniej mi będzie było ci dogodnym.

— Będę ci mocno zobowiązany, Stanisławie — odpowiada rozpromieniony gospodarz, żywo rękę gościowi podając — pragnę, by praca moja była poznana, przyniosła szerszym kołom pożytek. Wdzięczny ci będę prawdziwie...

— Ależ to bagatelka bez znaczenia. Kiedyś mi się i ty zrewanżujesz — i powoli excelencya głową kiwa i w tejsze chwili na znak, dany przez siostrę, równocześnie z nią wstaje i zaczyna się żegnać, tłumacząc, że na

dzisiaj tylko tak krótką mógł sobie zrobić przyjemność, ale ma nadzieję, że w Wiedniu dawny kolega raczy go prędko odwiedzić.

— Zaszczycony wysoce łaskawem życzeniem exceleney — kłaniając się, powtarza pan Leon — bardzo wdzięczny za łaskawą wizytę...

Tymczasem pani Franciszce dostaje się *kompliment* od gościa, który, wyszafowawszy grzeczności na wzór swej siostry, uprzejmie słówka rzucającej na wszystkie strony, z widoczną ulgą siada wygodnie w karecie, kiwając głową na uradowany wykrzyk pani Amelii:

— Poszło wszystko znakomicie! Leona mamy w kieszeni!

Równocześnie w jadalnym pokoju pan Leon mówi do nieruchomo stojącej żony:

— Poczciewy Stanisław! lubi mnie widać prawdziwie, bez żadnego celu utylitarne go byli u nas. Gdy zobaczyłem karete, myślałem już, że jaka prośba. Muszę Stasia niedługo w Wiedniu rewizytować...

Gdy w dwa miesiące potem proszono go o wstawienie się za panią Amelią w jakimś procesie, na myśl mu nawet nie przyszło, że dzięki interesowi miał zaszczyt przyjąć u siebie jego exceleny, hrabiego Stanisława.

K. R—cz.



### Wiadomości literackie, naukowe, artystyczne, i rozmaiteści.

**W ostatnim czasie** wyszło kilka książek treści religijnych, temi są: „Żywot Pana naszego, Jezusa Chrystusa“ według św. Bonawentury przez O. Prokopa, i tegoż autora: „Rozmowy katechizmowe“ dziadka z wnukiem. Z ostatniej książki, której przystępność i popularność jest głównym przymiotem, nietylko dzieci, ale dorosłe osoby, nieposiadające głębszych i obszerniejszych wiadomości religijnych, korzystać mogą. Jest to pierwszy zeszyt zamierzonego wydawnictwa; od liczby prenumeratorów zależeć będą dalsze zeszyty. — Do książek treści religijnych należy jeszcze co dopiero wydany przez drukarnię p. Niemiry: „Rok zbawieniy“, czyli „Droga uświętobliwienia chrześcijańskiego. Są to krótkie, lecz treściwe rozmyślenia, wyjęte z dzieł świętych na każdy dzień roku.

**W Krakowie** odbył się zjazd nauczycieli, a ks. Zoeller, nauczyciel religii przy gimnazjum w Brodach, odczytał referat, w którym przedstawione są niedostatki kształcenia gimnazyalnego w Austrii. Ks. Z. radzi rodzicom wypełniać te niedostatki przez czytanie pouczających i moralnych książek.

**W zeszłym miesiącu** odbyły się w Paryżu rozmaite kongresy naukowe, jako to: kongres pedagogiczny; międzynarodowy kongres w sprawie chorób umysłowych; kongres higieniczno-geomograficzny; kongres geograficzny; kongres w sprawach szkół średnich i wyższych, który odbywał się pod przewodnictwem Berthelot'a, Jul. Simona i Gréarda, kongres zoologiczny i kongres głuchoniemych.

**Założone** w Krakowie „Towarzystwo ochrony Tatr“ rozwiązało się, jako niemające racji bytu od chwili, w której hr. Zamojski nabył Zakopane.

**Warszawskie** „Towarzystwo muzyczne“ d. 2 b. m. utworzyło szkołę dyki i deklamacyi pod kierunkiem profesora-artysty, p. J. Kotarbińskiego.

**Dnia 5 sierpnia** odbyło się w obecności kilku tysięcy profesorów, studentów i członków przeróżnych akademii

z wielkimi uroczystościami połączone poświęcenie i oddanie na publiczny użytek nowej paryskiej sorbony. Profesorowie na uroczystość tę przystroili się w średnio-wieczne kostiumy.

Na wielkiej estradzie, wzniesionej dla prezydenta i rządu republiki, zajęli również miejsca dawni ministrowie. Obok Wiktora Duruy, Juliusza Simon, Goblet, Sochroy itd. dostrzedz można było Juliusza Ferry.

O trzeciej godzinie ukazał się Carnot w otoczeniu członków gabinetu. Muzyka republikańskiej gwardyi zagrała marsyliankę. Gdy muzyka zamilkła, zabrał głos Gréard, wicedyrektor akademii paryzkiej, i w krótkiej, treściwej mowie skreślił dzieje sorbony, kończąc następującymi słowy, zwróconymi do akademickiej młodzieży: „Ukochajcie nade wszystko wiedzę, bo ona jest najlepszą doradczynią w potrzebie. Tak samo, jak religia, ma i wiedza swych apostołów i męczenników. Ona brata ludzi, uszlachetnia ich i przysposabia do pojmovania obowiązków. A między tymi, którzy pełni miłości i poświęcenia dla sztuki umiłowali nade wszystko pokój, (sądzę, iż koledzy z obcych ziem tego samego są zdania) zaciąga wiedza ogniwa, stwarzając im nową, powszechną ojczyznę.“

Również Chautemps, prezydent paryzkiej rady miejskiej, utrzymał się na wysokości swego stanowiska.

„Słuszny, mówił on, robią zarzut demokracji, że nie zna poczucia szacunku. Troszczy się mało o wymagania, które na ludzi nakłada majątek i urodzenie, pochyla jednakże głowę przed wiedzą. Tak samo, jak wiedza, obchodzi dziś demokracja wielką uroczystość międzynarodowego charakteru; połączenie prac wszystkich narodów, wychowanie nowej, zdrowej generacji pobrata ludzi i doprowadzi do powszechnego pokoju, pożądanego od dawna.“

Ażeby słowa natychmiast w czyn zamienić, należy się spodziewać, że świeżo poświęconym gmachem uniwersyteckim zainteresuje się cały świat naukowy. Nowa sorbona, nowym przejęta duchem, zgromadzi w sobie żądnych wiedzy synów różnych ziem, którzy, w imieniu swej ojczyzny dłoń bratnią wyciągając do kolegów, dopomogą tem samem do zjednoczenia i pokoju.

Wspaniały gmach sorbony wystawił architekt Rénou, przy pomocy panów: Saint-Ange, Flachéron i Oudiné.

Cała budowa powagą formy trzymana jest w gotyckim stylu, jakkolwiek gzemsy i sklepienie są romańskiego pochodzenia. Pokrycie dachu przypomina oryginalny styl architektury z czasów Ludwika XIII. Prawdziwem aredyzielem sztuki można nazwać kamienne balustrady i metalowe balkony. Wielka sala w stylu renesansu robi ogromne wrażenie.

Na ścianach galeryi ciągną się długi rzędem malowidła Flamenga i Chatrana, przedstawiające historią wiedzy we Francji. Prawą stronę, poświęconą myślicielom, rozpoczyna Abälard, kończy Ernest Renan; lewa, ofiarowana badaczom przyrody, obejmuje długi szereg swych głównych przedstawicieli, od Vincent de Beauvais do François. Wszystkie te obrazy ujęte są we wspaniałe ramy.

Najpiękniejszą częścią budowli jest bez zaprzeczenia wielki amfiteatr, w którym się odbyła uroczystość poświęcenia. Olbrzymie malowidło pana l'uvis de Chavannes dopomaga do tryumfu francuskiej szkoły i liczy się w poczet najlepszych utworów modnej sztuki.

Godnem uwagi jest to, iż architekt, stawiający nową sorbonę, nietylko nie przekroczył przeznaczony na ten cel sumy, lecz przeciwnie, zaoszczędził 2 miliony franków. Henryk Rénou mało znajdzie zapewne równych sobie pracowników.

Oby w przyszłości prawdziwie pojednawczy zapanował tam duch, co jest obecnie pragnieniem naukowego, francuskiego świata.

**Dzienniki** angielskie donoszą, że sławna śpiewaczka, Krystyna Nilsen, w skutek długich cierpień reumatycznych dotknięta została zupełną głuchotą.

**Ignacy Paderewski** i Alicya Barbi zaproszeni zostali w odwiedziny do królowej rumuńskiej (Carmen Sylvy).

**Warszawskie** firmy fortepianów Kralla, Seidlera i Kerntopfa otrzymały złote medale na wystawie paryskiej; firma Małeckiego medal srebrny.

**Jeden z warszawskich** restauratorów ze względu na brak dobrej służby po restauracjach ma zamiar założyć „szkołę kelnerów.“ — „Biesiada“ robi słuszną uwagę, iż szkoła taka zdołałaby jedynie wykształcić swych elewów zewnątrz, gdy tymczasem stan kelnerski potrzebuje przede wszystkim wewnętrznego, moralnego wykształcenia.

**Redakcyje** pism szwajcarskich postanowiły za wspólnym porozumieniem się nie zamieszczać w łamach swych dzienników opisów zbrodni, samobójstw i t. p., ponieważ opisy takie przeważnie demoralizujący wpływ wywierają na swych czytelników. Podobno i prasa angielska przychyliła się do zdania redaktorów szwajcarskich, a zważając byłoby rzeczą, aby prasa całego ucywilizowanego świata poszła za dobrym przykładem.

**Paryżki** „Przegląd naukowy“ odradza amatorom starego wina ufać zbyt ciężkim zapachom omszałych butelek. Zapach ten, jak wiadomo, nadają winu etery, które wytwarzają się same w ciągu lat i nie szkodzą umiarkowanym konsumentom starego wina. Tymczasem przy dłuższym używaniu wina, któremu sztucznie nadano zapach starości, ukazują się bardzo szkodliwe skutki. Podobno fałszowanie zapachu wina, owej „myszki“, tak pożądanej smakoszom, doszło w ostatnim czasie do wysokiego stopnia doskonałości. — Meksykanie częstują swych gości na wystawie paryskiej nowym, upajającym napojem; jest to sok z olbrzymiej agawy, zwanej w Meksyku „mangon“. Starodawny ten napój Meksykanów ma smak miodu, po kilkodniowej zaś fermentacji nabiera smaku nieco kwaśnego i ostrego i stanowi orzeźwiający, ale zarazem upajający napój.

## Anekdotka.

**Mądry brat.** — Działo się to bardzo dawno. W kraju, rządzonym przez sprawiedliwego króla, żyło dwóch braci bliźniaków: Polilło i Pokotyłło.

Polilło lubił samotność, gaje, ruczaje, gwiazdy na niebie i śpiew słowika. Pokotyłło zaś broń palną, jazdę na oklep i inne podobne zajęcia i rozrywki. Ale nie wyszły mu one na dobre. Razu pewnego bowiem, pędząc na ognistym rumaku, potrafił nim straż królewską, wszczął z jednym ze służalców zwadę i trupem położył go na miejscu. Ujęto go, zaprowadzono do więzienia i skazano na śmierć. — Otoż dograłeś się, Pokotyłło — narzekał bliźniak, brat jego. — W kwiecie wieku „ożegnać świat ten pełen woni i krasy — to smutno, to bardzo boleśnie! — Ponieważ nigdy na próżno nie oddawał się rozmyślaniom — obmyślał plan wybawienia brata. Przekupił stróżów i dozorców i sam w miejsce Pokotyłły wszedł do więzienia.

Król w tym czasie wyprawiał ucztę wspaniałą. W wesołym będąc humorze, kazał przywołać do siebie więźnia i obiecał obdarować go życiem, jeśli na trzy pytania dobrze mu odpowie. Rzekł tedy:

— Powiedz mi, jak daleko z ziemi do nieba? Ile wart jestem i co myślę?

Więzień — a był to mądry Polilło — namyśliwszy się, rzekł: — Z ziemi do nieba jest jeden dzień drogi, gdyż Chrystus powiedział lotrowi: „Dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.“

— Ty, królu, wart jesteś 29 srebrników — bo Judasz Zbawiciela sprzedał za 30, a król przecież tańszym być musi.

— Myślisz, że masz przed sobą zabójcę sługi twego Pokotyłły — tymczasem ja jestem brat jego bliźniak, Polilło. —

Zdumiony król pochwalił odpowiedzi i wolność mu darował.

J. D.

## Promyki.

Większość mężczyzn lubi kobiety bierne, słabe, bez własnego zdania; wyższość umysłowa, energia, stanowczość i śmiałość — tak konieczne kobiecie, przez życie o własnych zmuszonej iść siłach — nie zaletą, ale wadą są w oczach niejednych.

W zmianie miejsc i wrażeń jest potęga niezaprzecona, zapomnienie, jeśli nie nagłe i zupełne, to stopniowe i częściowe zawodów, smutków, udręczeń; jest życie terażniejszością wyłącznie bez chwilowego zwrotu myśli do dnia wczorajszego, bez chwilowej troski o to, z czym jutro spotkać się przyjdzie. Skuteczności tego lekarstwa doświadczyły na sobie niejedne dusze zgnębione i serca zbolełe.

Najpoetyczniejsze dusze mają chwile roztargnień, w których są zajęte . . . ziemią!

Długo tłumiona zazdrość, złość i nienawiść szuka skwapliwie pozorów do prześladowania ofiary, a znalazłszy je, wybuchu zazwyczaj . . . w oszczerstwie.

Świat cały niezdolny jest zapełnić pustki serca, powstałej przez stratę jednej ukochanej ponad wszystko istoty.

Nie ma pancerza, któregoby słodycz i miłość przełamać nie zdołały!

## Zadanie konikowe

(ułożyła Helena Wituska.)

jest	żyć	bo	cne	nie	wszyst	wiąz	bie
w po	dy	czyć	pła	ta	za	ra	o
ne	względ	dlić	ba	kę	bez	się	bie
kne	bli	fia	wać	dla	mi	trze	żyć
cznie	o	ło	ła	a	znać	nie	i
spra	wy	ta	pię	mo	dla	ki	sie
cne	trud	źnich	świa	wo	czy	za	du
co	wać	co	lą	swę	ko	dla	to

Za dobre rozwiązanie nagroda.

TREŚĆ: O wychowaniu. (Ciąg dalszy nastąpi). — Wiązanie. Twoje wiosny. (Wiersz.) An. Zof. — Historia, jakich wiele. Przez F. F. Z języka niemieckiego tłumaczyła Anna Pilaska. (Ciąg dalszy nastąpi). — Ibrang Hoihsthol (Z kartek szukającego ideałów.) (Ciąg dalszy nastąpi.) W. M. — Korespondencya „Domu polskiego“ Zpoza kordonu A. M. — Zapiski, szkice i typy galicyjskie. Szkic I (Dokończenie) K. R—cz. — Wiadomości literackie, naukowe, artystyczne i rozmaitości. — Anekdotka. J. D. — Promyki. — Łamigłówka konikowa (ułożyła Helena Wituska.)